

# Koń w konserwie

Kara, zanim trafiła ją bomba, zdążyła go jeszcze urodzić na Wołyniu. Małego pajęczka na trzęsących się nóżkach oblizywała czulej niż ja urodzinowy cukierek.

Orlik często dawał nura pod jej brzuch. Boksując głową wymuszał dla siebie wszystko. Pozwalała łakomczuchowi wypijać ile chciał i chudła. On się zaokrąglął i stawał pęczniejącym ruchliwym bakiem.

Jego kopytka zaczęły zmieniać się w kopyta i zaczynały coraz mocniej ciągnąć go w pole, na łąkę i do lasu. Pewnego dnia zobaczyłem jak nozdrzami zaczął łapczywie chłonąć zapach stepu. Mało wtedy nie pofrunął, ale ojciec czuwał. Byłby się filozoficznie gdzieś zaplątał, myśląc, że wolność to wszystko czego dusza zapragnie, gdyby go ojciec wtedy nie zaprzągnął i nie wykastrował.

Najpierw na niby, w pustym wozie, stopniowo i cierpliwie ojciec uczył go jego miejsca w świecie. Nie wiem czy i kiedy Orlik zauważył, jak świat skurczył mu się do orczyka, dyszla, uprzęży i żłobu. Trochę się z początku szarpał, jednak, gdy zauważył, że karmiąca i głaszcząca ręka ma również na wypadek wątpliwości bat, filozoficznie dojrzał do najtrudniejszej wolności. Dzięki temu został najlepszym koniem w okolicy.

Kręcący się zawsze kupcy coraz bardziej podbijali cenę, ale ojciec tylko uśmiechał się z dumą mówiąc - to moja ręka i pozostawał niewzruszony nawet na zawrotne ceny. Wiedział, że gdy się ma coś dobrego, nie wolno igrać z losem i szukać lepszego.

Orlik po latach harówki zaczął słabnąć. Gdy już sobie nie radził, ojciec dał mu do pomocy Gniadego. Połączenie młodości i siły z rutyną długo dawało dobre rezultaty, dopóki Orlik całkiem nie zasłabł tak, że przestał wychodzić ze stajni.

Teraz już tylko się pasł. Mógł się wreszcie nie śpiesząc najeść do syta owsa, srutu, otrąb, koniczyny i lucerny. Gdy zrobił się tłusty jak przedwojenny burmistrz, ojciec zawiódł go na spęd. Był pierwszym, który po wojnie w latach sześćdziesiątych z Wielkądza pojechał do Włoch.

Na otarcie łez po stracie przyjaciela za premię eksportową dostałem rower.

Prawie o nim zapomniałem, gdy po latach żona kupiła sobie torebkę. Wróciły wspomnienia. Gładząc cienkie kawałki wszytej do torebki końskiej skóry uprzytomniłem sobie, że taką delikatną skórę miał Orlik na szyi. Lubił gdy go głaskałem. Kiedy nie musiał pracować, pozwalała mi czasem pojeździć na swoim grzbiecie. Najpiękniejszy był, gdy o zachodzie słońca zbiegał ze wzgórze z rozwianą grzywą.

Potem była konserwa tatarska. Skład: wieprzowina, konina, jarzyny. Brzęczała lodówka z tą konserwą, a ja miałem wrażenie jakby żona za chwilę miała mi podać na kolację przyjaciela z dzieciństwa i bałem się tej chwili. Ona nie знаła historii Orlika, więc dziwiły ją moje reakcje. Na koniec zjadłem kawałek Orlika, ale chodziłem przez wiele lat z niejasnym przeczuciem, że trzeba wreszcie poświęcić mu chociaż stronę tekstu. W ten sposób tak samo jak Kara, bohaterka wojny, również i on zostanie w czyjejś pamięci.

1967-1997

Alfons Soczyński

Jest to fragment przygotowywanej do druku książki pt. „Tryptyk z ojcem”.